ORO
MARCEL A. MARCEL
ILUSTRACJE KRZYSZTOF OSTROWSKI

– Jemy to, co przygotował Arnold. Pamiętasz umowę? – Wanda odezwała się pojednawczo.

Cienka odłożyła maselniczkę z powrotem do lodówki. Usiadła do stołu. Z nienawiścią obserwowała, jak Arnold nakłada każdemu na talerz garść zieleniny, polewa ją niesłodzonym jogurtem i posypuje ziarnami słonecznika i dyni.

Lena stanęła przy zlewie. Wyjęła swoją tacę, położyła na niej talerz.

– A ty czemu nie przy stole? – zapytał Lenę.

– Jem u siebie – cicho odparła Lena.

– Chyba sobie żartujesz – Arnold nie krył kpiny. – Siadaj i nie marudź. Nie ma wyjątków.

Dzieci zamilkły i przyglądały się scenie. Oko patrzył na Lenę natrętnie, mrugając dla niepoznaki. Przecież Lena nie może zabić kogoś, komu nie można popatrzeć prosto w oczy.

– Lena je u siebie – stanowczo powiedziała Wanda. – Jak będzie gotowa, zje z nami.

– No pięknie. Wystarczy zostawić was na tydzień i już po regułach. A niby dlaczego? – Arnold z niechęcią spojrzał na Lenę. Iskra i Oko kręcili głowami jak na meczu tenisa. Raz w prawo, na Wandę, raz w lewo, na Arnolda.

– Z tego samego powodu, dla którego ty przez tydzień nie wychodzisz z pokoju. – Wanda spojrzała na Arnolda poważnie. Przez chwilę słychać było tylko głośne brzęczenie muchy. Arnold bez słowa wziął talerz Leny, nałożył sałatę, polał ją jogurtem i posypał ziarnami. Postawił na tacy, nie patrząc na Lenę. Zasiadł do stołu. Lena zabrała tacę, choć z góry wiedziała, że tego akurat dania nie zje. Usiadła w swoim pokoju, patrząc na zieleninę z niechęcią. Wkurzał ją ten Arnold. Fajniej było, kiedy go nie było, pomyślała, ale zaraz się poprawiła: a co mnie to w ogóle obchodzi? Olewam go, jego poranną pseudogimnastykę, pseudozdrowe śniadanie i poczucie pseudowyższości. O-le-wam. Zabrała talerz do łazienki, podniosła deskę i wrzuciła zawartość do sedesu.

W kuchni nadal trwał posiłek. Lena cicho, na palcach, zeszła po schodach. Kiedy była przy drzwiach wejściowych, usłyszała strzęp rozmowy.

– Ja tam na nią nie powidzę. O nie. – Oko był stanowczy. – Chcem żyć – dodał ze śmiertelną powagą.

– Nic nie kapujesz. Ona jest czarodziejką. Jakby chciała, toby wszystko mogła, ale zabijać? Co to, to nie.

– Proszę, jaki adwokat Leny się znalazł. Tak dobrze ją znasz? – rzucił niedbale Arnold.

– A żebyś wiedział, wiesz. Znam jej tajemnicę, he – bez namysłu odparowała Iskra, po czym szybko zakryła usta ręką.

– Jaką tajemnicę? – dopytywał Arnold.

– Tajemniczą. Nic więcej nie powiem.

– Powiesz – przekomarzał się Oko.

– Nie.

– Właśnie powiedziałaś.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Głupi jesteś.

– Iskra!

– Nieprawda.

– Prawda.

Lena gwałtownie otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. O mały włos, a ta gówniara wszystko by wypaplała. Tyle właśnie dobrego jest z nawiązywania bliższych stosunków! Kopnęła kamień, który potoczył się z hałasem. Dobra, trudno. Nawet jak mała coś chlapnie, będzie to brzmiało tak samo bez sensu, jak historia z jej rzekomo zabijającym spojrzeniem.

Było wcześnie, ale słońce świeciło już mocno. Lena dawno nie była o tej porze na podwórku. Usłyszała burczenie w brzuchu. Ze złością pomyślała o Arnoldzie. Chwilę pokręciła się po ogrodzie, potem oglądała kolejne dobudówki, które nadawały domowi tajemniczy, eklektyczny charakter. W pewnej chwili podeszła do stojącego